Rocznik IV. Kraków 1-go stycznia 1912. (Półrocze I-sze) Nr. 1.

ŚWIATŁO

pismo poświęcone nauce i rozrywce

wychodzi **raz** w miesiącu, dnia 1-go

Prenumerata „ŚWIATŁA“ wynosi w Austryi na **rok: 4** korony — na **pół roku: 2** korony. — Do Niemiec na rok: **5** koron — półrocznie **2** kor. **50** hal. — Do Ameryki rocznie **1** dolar.

ADRES: Redakcya „ŚWIATŁA“ w Krakowie, ul. Powiśle 12.

Słów kilka o znaczeniu prasy i o potrzebie jej popierania.

Gdy 4-go sierpnia 1904 roku po skończonem conclave zasiadł na Stolicy Piotrowej Papież Pius X., najpierwszą jego, jako Papieża czynnością było własnoręcznie przesłać swoje papieskie błogosławieństwo czasopismom: „Pro famiglia“, w Bergamo, i „Difesa“ w Wenecyi.

I nic dziwnego. Mąż tej miary, co Papież Pius X. zrozumiał w ciągu swej długoletniej pracy na wszystkich stopniach hierarchii kościelnej i przekonał się dowodnie, czem jest i może być prasa, szczególnie w naszych czasach. To też nie długo przed wyborem na Papieża, gdy czasopismu „Difesa“ groziło przesilenie finansowe, oświadczył, jeszcze jako patryarcha wenecki, na odnośnem zgromadzeniu, że chętnie odda nawet swoje pectorale i suknię kardynalską, byle tylko dziennik utrzymać.

Gdy Abd el Kader ujrzał po raz pierwszy maszynę drukarską w ruchu, jak bezustannie wyrzucała jeden arkusz za drugim zadrukowanego papieru, nazwał ją armatą myśli. Oryginalne porównanie, ale trafne. Armat tych ustawiono setki tysięcy i one miotają dzień i noc bezustannie strzałami do tysięcy milionów ludzkich umysłów, a strzały te padają wszędzie: do pałaców magnac-

kich i do chat wieśniaczych i siedzib robotniczych, na miejsca publiczne i do sal na zgromadzenia, a wszędzie wywołują skutki potężne.

Zobaczmyż teraz i przekonajmy się, do jakich obozów te armaty należą. Oto w samej Austryi 112 pism katolickich ma przeciwko sobie przeszło 3.600 pism wrogich, czyli, że na jedno pismo katolickie przypada 31 pism przeciwnych, a o ileż smutniej przedstawia się liczba abonentów, jeżeli zważymy, że każde pismo nieprzyjacielskie ma około dwa tuziny tyle abonentów, ile pismo katolickie.

Mamy więc ogromną przewagę przeciwko sobie, a nieprzyjaciele ci nie znają ustępstw i wypowiedzieli wojnę wszystkim, co dla nas jest świętem i wzniosłem: bluźnią przeciwko nauce wiary, jako obłudzie — odrzucają ją, jako sprzeczną z postępem wiedzy, a z tego zawsze się coś utrzyma.

Opowiada Homer, że Ares, bóg wojny, ryczał, jak dziesięć tysięcy mężów, lecz tysiąc razy potężniej ryczą dzisiaj w zażartej walce duchowej, armaty bezbożnej prasy, a ich krzyk piekielny ogłusza niezliczone masy ludzi i pozbawia je rozsądku i zdrowych zmysłów. „Klerykalizm jest wrogiem“ brzmi milionkrotnie z bezbożnej prasy. Jakkolwiek nikt właściwie nie wie, co to jest ten klerykalizm, jednak czyta to urzędnik, słyszy to obywatel po raz setny i w końcu wierzy, że to musi być prawda, że ten klerykalizm to musi być rzeczywiście jakiś potwór. Mąż zaślepiony przyjmuje dziś z lekceważeniem złamanie wiary małżeńskiej i z uśmiechem opowiada, co to było za pikantne zajście, nie przyjmie tylko zarzutu, że jest klerykałem, owszem chętniej będzie bluźnił przeciwko religii, duchowieństwu, przykazaniom i t. d., aby tylko dowieść, że jest od klerykalizmu daleki.

Jeden z najdoświadczeńszych mężów, Alban Stolz, wyrzekł, że wojna między niebem a piekłem toczy się dzisiaj na papierze przy pomocy liter. Gdy deszcz pada, zwilża ziemię i cała roślinność nabiera wilgoci, tak samo napawa dzisiejsza bezbożna prasa, ducha i serca człowieka,

iż w jego zapatrywaniach, sądach, w usposobieniu i działaniu występuje trucizna, którą przesiąknął.

Człowiek dzisiejszy jest po największej części stworzeniem swego czasopisma. Jak sam Lasalle zauważył, człowiek, który gazety czyta, nie potrzebuje myśleć, bo za niego myśli jego gazeta, jego sąd o osobach, stronnictwach, religii, polityce, gospodarstwie i wypadkach jest tylko sądem jego gazety; na nią przysięga, ona jest jego ewangelią, jego ostatnim argumentem jest zawsze twierdzenie, że to musi być prawdą, bo to jest w gazecie napisane, i przez to straszliwe spustoszenia sprawia prasa bezbożna.

Kto wydarł wiarę i religię z serc niezliczonych tysięcy? bezbożna prasa. Kto zatruł ogromną część młodzieży i uprowadził do nieobyczajności i występku? Bezwstydna prasa naszych czasów.

Kto wznieca wśród ludu robotniczego bezustannie niezadowolenie i prowadzi ten lud z strejku do strejku? Prasa. Kto rozsiał tyle kłamstw i oszczerstw o Kościele i duchowieństwie, kto zohydził wszystko, co w świetle jest i z błotem zmieszał? Prasa bezbożna.

Od niej pochodzi największa część zepsucia, niewiary i nieobyczajności i zatrucia ludu.

W iluż to domach wisi na ścianie krzyż jako znak czci, a pod nim na stole znajduje się gazeta bezbożna, która zwalcza Ukrzyżowanego.

Co to są za żołnierze, którzy ich własną chorągiew tarzają w błocie i zezwalają ją brudzić? Takimi są katolicy, którzy swoją świętość najwyższą pozwalają bezcześcić przez prasę, i za to jeszcze płacą.

Co to są za dzieci, które się spokojnie przypatrują, gdy kto ich rodziców poniewiera i na to jeszcze pieniądze wydają? Takimi są katolicy, którzy pozwalają bezbożnej prasie bezcześcić ich matkę, Kościół święty i za to jeszcze płacą.

Zaiste, zbyt już długo dzierży bezbożna prasa panowanie nad ludnością katolicką; zbyt długo wyśmiewa naukę naszej wiary, bluźni Kościołowi, naszą młodzież prowadzi do nieprzyjacielskiego obozu. Czas zatem zerwać hańbiące nas więzy, które nam bezbożna prasa nałożyła.

Nadszedł czas! To hasło niech się rozniesie po całej naszej Polsce od morza do morza. Nadszedł czas do przebudzenia się. Gdzie tylko bije katolickie serce, gdzie tylko uczuć się daje hańba i niewola, jaką nam żydostwo i jego prasa nałożyła, tam musi zabrzmieć wezwanie do walki z wrogiem.

Do tej walki potrzebujemy jednak broni, a tą jest katolicka prasa.

Bez dobrej katolickiej prasy daremne będą wszelkie nasze wysiłki, wszystko będzie stracone. Postawmy najdzielniejszego żołnierza, lecz bez broni, naprzeciw dobrze uzbrojonego wroga, na nic się nie zda jego waleczność, jedna kula, a żołnierza nie ma. Na nic ofiarność, na nic zapał dla dobrej sprawy, jeżeli nie będziemy popierali katolickiej prasy.

Prawdziwie prorocze słowo o losach Francyi pisał w roku 1877 generalny prezydent Towarzystwa świętego Wincentego à Paulo, Bandon, do szwajcarskiego kanonika ks. Schoderota: „Mojem zdaniem jeszcze zanadto mało poznają wierni, jak ważną jest prasa“. Wznosimy kościoły, zakładamy klasztory, budujemy domy dla sierót i ubogich, są to bezsprzecznie dzieła najpotrzebniejsze, ale zapominamy, e oprócz tej potrzeby istnieje jeszcze inna, ważniejsza od wszystkich, to jest rozszerzanie i popieranie katolickiej prasy.

Jeżeli nie będziemy katolickiej prasy popierać, zagrzewać i jeżeli jej nie postawimy na należnej wysokości, opustoszeją nasze kościoły, o ile się nie staną pastwą płomieni; stowarzyszenia religijne doznają tem większego ucisku, im więcej były dobroczynnemi, nieprzyjaciele wyrzucą religię z zakładów dobroczynnych i szkół, która je założyła.

Przewrót, lub też, czego się jeszcze bardziej obawiać należy, przeciwne religii prawodawstwo zniszczy, albo na inne cele przeznaczy wszystko to, co wierni z trudem wznieśli. Dopóki prasa pozostawać będzie wyłącznie w rękach wrogów katolicyzmu, dotąd wszelkie usiłowania katolików pozostaną bezskuteczne, chyba, że się jaki szczególny cud stanie.

Gdyby byli katolicy francuscy, podtrzymywanie ich prasy uważali za swój pierwszy obowiązek, gdyby byli prasie poświęcili dwa lub trzy miliony franków rocznie, byłoby się położenie bardzo szybko zmieniło, byłaby się wiara wśród tysięcy inteligencyi podniosła, boby się były umysły rozjaśniły“.

Tak pisał przed trzydziestu laty wyżej cytowany Bandon. Czyż to się nie spełniło co do joty? to, co on przepowiedział? Rozpędzono zakony, zamknięto ich szkoły, zburzono ołtarze, zbeszczeszczono kościoły, zniesiono niezliczone zakłady dobroczynne i zerwano zupełnie związek Kościoła z państwem. Skąd tyle złego? Stąd, że nie było wielkiej prasy katolickiej, a ta co była, nie była należycie popieraną.

Oby los katolików francuskich, był dla nas przestrogą!

Wszakże i u nas pokazują się już zapowiedzi złowrogie blizkiej burzy przeciw Kościołowi i społeczeństwu, więc póki czas jeszcze uzbrójcie się w prasę katolicką, rozszerzajcie wszystkie pisma katolickie i popierajcie je środkami, na jakie kogo stać.

Do tego wzywają nas wielcy i czcigodni mężowie. Papież Pius IX. nazwał popieranie katolickiej prasy i rozszerzanie jej wśród ludu świętym obowiązkiem każdego katolika. Pełen wdzięczności darował on francuskiemu dziennikarzowi Ludwikowi Veuillotowi złote pióro, ze złotemi słowy: Pan jesteś mi droższy, niż 100 tysięcy mężów.

Papież Leon XIII. mawiał, że katolicy nigdy nie mogą zadość czynić dla swojej prasy; a wielki Biskup Ketteler tłómaczył, że katolik, który katolickiej, prasy z całych sił nie popiera, nie ma prawa nazywać się dobrem dzieckiem Kościoła. Arcybiskup Reylly z Adelaidy w Australii sam się uczył składać i drukować, aby prawdy religijne do ludu patrzeć mogły, a Biskup Norwegii, Fallice wydaje sam tygodnik św. Olaf.

Nie myślmy, że tylko do osób duchownych należy popieranie katolickiej prasy, bo to dziś jest obowiązkiem każdego katolika, i nie może się nazywać katolikiem ten, kto katolickiej prasy nie popiera.

Każdy katolik winien być w obecnych czasach „apostołem prasy“ i domagać się wszędzie pism katolickich: na kolejach, w restauracyach, kawiarniach i t. d.

Nasi ojcowie zrywali się niejednokrotnie do walki z wrogiem, który Ojczyznę najeżdżał, dziś wydał nam wojnę wróg inny, wróg duchowy, to jest żydowizm, który stanął na czele socyalizmu, niedowiarstwa i masoneryi, i uderza w nasze społeczeństwo, w nasz Kościół, z całą siłą za pomocą swej prasy.

Nie zwalczymy tego wroga inną bronią — tylko tą, której on używa, to jest prasą. Skutki złej prasy widzimy we Francyi; jeżeli więc nie chcemy, aby i nasze społeczeństwo spotkała podobna katastrofa, jaka spotkała katolików francuskich, którzy dawali miliony na kościoły, a nie dbali o prasę katolicką — to zabierzmy się jak najrychlej i najenergiczniej do popierania pism katolickich, nie tylko przez prenumeratę tychże, ale i przez składanie osobnych ofiar na cele katolickiej prasy.

Protestancka propaganda wśród Polonii amerykańskiej.

Z Ameryki coraz częściej napływać zaczynają skargi ze strony Polaków tam osiadłych, że Anglicy starają się gwałtem rozwinąć energiczną propagandę nawracania na protestantyzm katolików-Polaków. W ostatnich czasach rozwinęły kościoły anglikańskie swe zakusy, zwłaszcza w Kanadzie, a ponieważ wśród tamtejszych kolonistów polskich mało jest intelgencyi polskiej, propaganda ta znajduje chętny posłuch. Zresztą protestanci angielscy biorą się do niej bardzo zręcznie, a nawiązawszy stosunki z różnemi gminami protestanckiemi tu w Galicyi i na Śląsku, usiłują i tu robić odpowiedni nastrój, przenosząc go potem na grunt amerykański.

W Cieszynie na Śląsku wychodzi po polsku gazetka „Poseł Ewangielicki“. Przeznaczona ona jest głównie do popierania agitacyi protestanckiej nie u nas w Europie,

ale w Ameryce. A drukowanie jej tutaj ma być jeno zachętą, aby Polacy tęskniący za Ojczyzną tem chętniej w Ameryce ją czytali, jako gazetkę ze „starego kraju“.

W Kanadzie praca sprotestantyzowania Polaków rozwinęła się już w całej pełni. Stąd też pochodzi, że tak zwane kościoły narodowe o podkładzie protestanckim wyrastają tam jak grzyby po deszczu, a rozdwajanie i rozbijanie się polskich stowarzyszeń katolickich jest rzeczą bardzo częstą. Wszystko to zaś jest dziełem misyi metodystów i presbiteryanów, którzy grube kwoty łożą na osiągnięcie swych celów,

Postępowanie zaś ich celem zjednania sobie zwolenników, jest bardzo podstępne. Każdy inteligentny polski emigrant przybywający do Kanady zostaje zaraz opasany siecią intryg tych panów.

Zaczyna się od tego, że utrudnia mu się egzystencyę, nie pozwalając bądź znaleść zajęcia, bądź też utrudniając pozostanie w niem.

Oprócz tego nasyłani bywają Polacy, którzy dawno wyrzekli się wiary katolickiej i zangliczeli, a obecnie pracują jako płatni tajni agenci misyi protestanckich. Ludzie tacy bądź zamieszkują obok upatrzonej rodziny emigranta, bądź też stołują się u niej, pilnie baczą na jej stosunki; donosząc swym przełożonym, co robią i jak żyją emigranci. Wkradłszy się w przyjaźń obserwowanych, starają się ci agenci zapoznać ich z rodzinami Anglików, rzekomo przyjaciółmi Polaków, mówiącymi nieraz nawet po polsku, którego to języka nauczyli się oni dla celów propagandy. Tacy Anglicy dla lepszego wyszkolenia się w mowie polskiej starają się utrzymać przyjacielskie stosunki, równocześnie jednak obserwują swe ofiary. Aż kiedy zazwyczaj z powodu złych warunków materyalnych przychodzi na emigranta depresya moralna, ci fałszywi przyjaciele zrzucają maskę i otwarcie proponują przejście na wiarę metodystów lub presbiteryanów, w zamian ofiarując bardzo korzystne posady, zwłaszcza o ile dany emigrant zechciałby zostać misyonarzem metodystów.

Ponieważ ogólnie emigracya polska w Kanadzie składa się z ludzi najniższych warstw o małej odporności moralnej, więc i żniwo protestantów jest bardzo obfite.

Jedną z najwybitniejszych takich działaczek protestanckich jest niejaka Miss Hallen, dyakonisa metodystów, Angielka, umiejąca dosyć dobrze po polsku.

Jej władza przełożona uchwaliła ją na dwa lata wysłać do Krakowa i do Galicyi, aby wykształciła się i poznała stosunki polskie. Także od roku przebywa w Krakowie niejaki Mister Chaubert z Winnipegu w Kanadzie Anglik, wysłany w celach propagandy. On to w marcu bież. roku wygłosił w Cieszynie na Walnem Zgromadzeniu towarzystw ewangielickich, odczyt, w którym niedwuznacznie wskazał na usiłowania, podjęte celem szerzenia protestanckiej propagandy wśród Polaków. Odczyt ten wydrukowany potem przez „Posła Ewangielickiego“ w Cieszynie, został w tysiącach egzemplarzy wysłany do Kanady i rozrzucony między Polakami.

Sprawa przez nas poruszona jest bardzo doniosłego znaczenia. Jak nam bowiem z Kanady piszą, wśród Polonii dzieje się tam źle, a co najmniej trzy czwarte emigrantów jest dla polskości zupełnie straconych. Garstka inteligencyi z trudnością może wpływać na tysiące rodzin robotniczych i włościańskich i podtrzymywać ich religię i patryotyzm. N. p. w Winnipegu na 5.000 Polaków jest zaledwie 14 z osób z inteligencyi polskiej. Cóż to znaczy? Tem bardziej więc należy na fakt ten zwrócić uwagę i przynajmniej nie dopuszczać do tego, aby u nas w kraju wychodziły jakiekolwiek podniety do tej propagandy.

Rozłam wśród socyalistów galicyjskich.

W grudniu zesz. r. obradował we Lwowie doroczny zjazd partyi socyalistycznej galicyjskiej. Był on obrazem wielkiego rozprężenia, jakie coraz bardziej ogarnia szeregi socyalistyczne. Doprowadziło ono do tego, że dzisiaj w Galicyi zamiast jednej partyi socyalistycznej, mamy ich kilka, wrogo z podełba na siebie spoglądających. Dawniejsza „Polska partya socyalistyczna (P. P. S.) z biegiem czasu zaczyna zanikać. Obok niej jako jej samo-

istne odłamy, wyrosły już dzisiaj partya żydowska i partya ruska. Obie one starają się coraz bardziej stać się niezależnemi i odrzucić opiekę P. P. S. Obrady kongresu dobitnie to stwierdziły.

Szeregi socyalistyczne zarówno wskutek ucieczki z pod sztandaru, jak i wskutek wewnętrznej niezgody coraz bardziej topnieją. Stwierdził to w swym referacie tow. dr. Bobrowski, który oświadczył, że organizacya robotników młodocianych zupełnie się rozbiła. Poseł Daszyński zaś mówiąc o Unii górniczej na Śląsku wykazał, iż z 32 tysięcy zorganizowanych, liczba członków spadła na 12 tysięcy. Dowodzi to, iż owe rzekome zwycięstwa podczas wyborów ostatnich do parlamentu były raczej dziełem przypadku lub braku odpowiednich kandydatów, a nie wynikiem siły partyi socyalistycznej. Zresztą wiele do myślenia daje zarzut, podniesiony na kongresie przez socyalistę Haasego, który wręcz oświadczył, iż stanowisko głównego zarządu partyi podczas wyborów wobec ludowców i namiestnikowskich demokratów było niejasne. Co ta niejasność znaczy w praktyce, wiemy z wyników wyborów. Za ową „niejasność“ weszło z Galicyi tylu socyalistów do parlamentu.

Dowiedzieliśmy się także na kongresie, że partya socyalistyczna w Galicyi nie ma zupełnie programu agrarnego, czyli nie ma wcale opracowanych i ustalonych sposobów, jakimi należy iść w pomoc rolnikom-włościanom. Poseł Daszyński przyznał to sam, oświadczając, że programu takiego nie ma wogóle żadna austryacka partya, a włościanom daje się tylko minimum ich żądań, to jest najmniej, ile można.

Może nareszcie to szczere oświadczenie otworzy oczy naszym włościanom i pouczy ich, że w partyi socyalistycznej nie mają co szukać ratunku, bo ona nic im dać nie jest w stanie.

Najtrudniejszą sprawą dla kongresuu była jednak sprawa żydów. Jak wiadomo, dawniej partya galicyjska socyalistów żyła i pracowała za żydowskie pieniądze. W zarządach rej wodzili żydzi tak, że słusznie nazywano ją parobkami żydowskimi.

Póki żydzi mieszki dla partyi mieli otwarte, póty wszystko było dobrze. Ale od roku 1905 coś się zaczyna psuć w tej harmonii. Żydom widocznie sprzykszyło się być tylko dobrodziejami galicyjskiego socyalizmu. Postanowili popróbować interesu na własną rękę i utworzyli osobną partyę żydowską socyalistyczną.

Partya ta z początku była nieliczna. W miarę jednak, jak wśród żydów ruch narodowościowy zaczął się coraz bardziej rozwijać i ta partya zaczęła rosnąć w siłę. Doszło wreszcie do tego, że obecnie żydzi tworzą partyę zupełnie oddzielną, urządzają osobne zjazdy partyjne, słowem nie chcą już słuchać komendy panów Daszyńskich, Bobrowskich i t. p,, ale wolą sami o sobie radzić. Ma się rozumieć, rzeczą menerów partyi jest za wszelką cenę do tego nie dopuścić, gdyż rozłam moralny pociągnąłby za sobą rozłam materyalny, a tem samem nasi polscy towarzysze zostaliby dziadami.

To też kiedy sprawę tę na kongresie poseł Daszyński poruszył, uczynił to delikatnie, a kręcił tak argumentami, że istotnie podziwiać aż należało, jak też bardzo bał się czemkolwiek swych żydowskich przyjaciół dotknąć.

Sprawy rozłamu nie załatwiono. W każdym razie odmówiono żądaniu żydów, aby na międzynarodowe kongresy wysyłali osobnych delegatów i aby mogli w okręgach wyborczych, gdzie żydzi socyaliści mają większość, stawiać swych kandydatów.

Wskutek tego zostało stwierdzone niezbicie, że nawet w tak międzynarodowej partyi, jak socyalistyczna, nastąpił rozłam między żydami a nieżydami. Żydzi stanęli zupełnie osobno, a z chwilą kiedy to uczynili, wystąpili wrogo przeciw wszystkiemu co polskie. Zarówno poseł Daszyński, jak i redaktor Haecker żydowski socyalista, stwierdzili, że na żydowskich zebraniach nie dano im mówić po polsku, że żydzi socyaliści nie chcą mieć nic wspólnego z polskością i polską kulturą.

Wylazło szydło z worka i pokazało się, że nawet socyalizm, który się szczyci braterstwem ludów, nie potrafił zmienić duszy żydowskiej.

Mają polscy socyaliści dosadną nauczkę, do czego doszli, kiedy jak parobcy wysługiwali się swym żydowskim kierownikom.

Kongres ostatni wprowadził galicyjski socyalizm na nowe tory, nie zbyt pomyślne. Szeregi partyi topnieją, a wodzowie zaczynają coraz bardziej tracić grunt pod nogami

Ilu jest Słowian?

Jeden z profesorów rosyjskich, mianowicie T. O. Florinskij taki podaje wykaz liczebny wszystkich Słowian w ogólności, i w szczególności w pojedynczych, różnych krajach.

Na początku 1911 roku było wszystkich Słowian: 159 milionów 420 tysięcy.

Z tego jest:

1)	Wielkorosyan . . .	69	milionów	500	tysięcy
	Rusinów	32	„	100	„
	Białorusinów . . .	7	„	400	„
2)	Polaków	21	„	700	„
3)	Czechów	7	„	500	„
4	Bułgarów	5	„	700	„
5)	Serbochorwatów . .	9	„	773	„
6)	Słoweńców . . .	1	„	500	„
7)	Słowaków	2	„	740	„
8)	Serbów łużyckich . .	—	„	157	„
9)	Kaszubów	—	„	370	„
	Razem .	159	milionów	420	tysięcy

Poszczególne narody słowiańskie zamieszkują następujące państwa.

Wielkorusów mieszka w państwie rosyjskiem 69 milionów 200 tysięcy, Rusinów 28,400.000, Białorusów 7,400.000; w państwie austryackiem Rusinów 4,500.000 i to w Galicyi 3,480.000, w Bukowinie 360.000 i w Węgrzech 660.000. W innych państwach europejskich, w Ameryce i w państwach Azyi Rosyan i Rusinów 500.000.

Bułgarzy mieszkają: w Bułgaryi 3,400.000, w Turcyi (w Macedonii, Rumelii, w Konstantynopolu i w innych krajach tureckich) 1,900.000, w Rumunii 110.000, w Rosyi 226.000, w Austro-Węgrzech 34.000, w innych państwach 39.000. Razem 5,700.000.

Serbochorwaci mieszkają: w królestwie Serbskiem 2,800.000, w Czarnogórzu 260.000, w Austro-Węgrzech 5,855.000. Z liczby tej w Austryi 800.000, w królestwie węgierskiem 3,084.000, w Bośnii i Hercegowinie 1,970.090; w Turcyi (w starej Serbii, Macedonii, w wilajecie skadnerskim) 550.000. w Rosyi 2.000, we Włoszech 6.000, w Ameryce 300.000. Razem 9,773,000.

Słoweńców jest w Austro-Węgrzech 1,325.000, we Włoszech 43.000, w Ameryce 132.000. Razem 1,500.000.

Czechów w Austro-Węgrzech 6,935.000, z liczby tej w Czechach, na Morawie, Śląsku, w Dolnej Austryi 6,865.000, w Węgrzech 60.000, w Bośnii i Hercegowinie 10.000, w Niemczech 126.000, w Rosyi 65.000, w Ameryce 310.000, w innych krajach 64.000. Razem 7,500.000.

Słowacy: w Austro-Węgrzech 2,358.000, z liczby tej w Węgrzech 2,250.000, na Morawie, w Dolnej Austryi i w Wiedniu 10.800, w Ameryce 280.000, w Rosyi i innych krajach 2.000.

Serbowie łużyccy: w Górnych Łużycach 101.000, w Dolnych 56,000, w królestwie saskiem mieszka z tej liczby 56.000, w Prusach 90.000, w Ameryce, Australii i innych krajach 11.000.

Polaków pod zaborem rosyjskim jest 9 milionów 800 tysięcy, w Austryi 4,900.000, w Niemczech 3,900 000. w innych krajach europejskich 100.000, w Ameryce 3 miliony. Razem 21,700.000.

Kaszubów w Niemczech, prowincyi Zachodnie Prusy i Pomorskiej, 222.000, w Ameryce 118 tysięcy. Razem 370 tysięcy. Trzeba ich dodać do liczby Polaków, za jakich oni wszyscy się uważają.

Stosownie do wyznawanej religii jest prawosławnych 111 milionów 530 tysięcy: Rosyan 100.760, Serbów 5,450 tysięcy, Bułgarów 5,260 tysięcy, innych 60 tysięcy.

Unitów jest 4,222.000, roskolników 3,500.000.

Katolików 37 milionów 300 tysięcy, w liczbie tej Polaków 21,150.000, Czechów 7,250.000, Słowaków 2,060.000, Serbochorwatów 3,450.000, Słoweńców 1,480 tysięcy, Rusinów 1,500.090, Kaszubów 345.000, Bułgarów 50.000, Serbów łużyckich 15.000.

Protestantów Słowian jest 1,640.000, w tej liczbie Słowaków 680.000, Polaków 550.000, Czechów 220.000, Serbów łużyckich 142.000. Kaszubów, 25.000, Słoweńców 21.000, Bułgarów 2.000.

Mahometan Słowian jest 1 milion 230 tysięcy, w liczbie tej Serbów 800.000, Bułgarów 370.000.

Obrazki z wojny włosko-tureckiej.

Walki włosko-tureckie staczane w północnym Trypolisie obfitują w bardzo ciekawe i pełne barwności obrazy. Cywilizacya europejska udoskonaliła już bardzo sposoby wojowania dając ludziom w rękę przemyślne przyrządy zabijania się wzajemnego.

Niejeden z nich po raz pierwszy zawitał na ziemię arabską, gdzie dotychczas nie znane były ani aeroplany, ani karabiny maszynowe i t. p. inne doskonałości wojenne.

Włoski kapitan Piazza był pierwszym, który na aeroplanie Bleriota poszybował nad pustyniami Tripolisu. Wzlot jego stał się dla Arabów tripolitańskich jakiemś nieziemskiem zjawiskiem. Olbrzymi ptak, który nagle ukazał się nad ich głowami zdawał się im zapewne jakimś legendowym orłem z „Tysiąca i jednej nocy“.

Pełni przerażenia i zdumienia patrzyli Arabowie na cicho przez przestworza sunący statek nadpowietrzny, a chyba tylko okrzyki podziwu lub przerażenia wyrywały się z ich ust. Bezradne zdumienie malowało się w obliczach wpatrzonych w niebo synów pustyni. Jedni brali aeroplan za olbrzymi pocisk, który lada chwila spadnie na ziemię, aby wywołać straszną eksplozyę, inni nie patrząc uciekali w popłochu.

Kapitan Piazza obleciał stanowiska nieprzyjaciół i szczęśliwie powrócił do obozu.

Włoskie wojska w Tripolisie pracują bez przerwy dzień i noc. Żołnierze poza walką odłożywszy na bok karabiny chwytają za taczki i łopaty sypiąc szańce i aprosze. A kiedy już rowy i zasieki są gotowe. żołnierze muszą trwać na swych stanowiskach, gdyż nawet w nocy nie dają im Arabowie spokoju. Co parę godzin padają alarmowe strzały, których echo nieraz w noc późną budzi półśpiących żołnierzy, stawia na nogi i wprost odruchowo wciska im w rękę karabin. Spokój mają tylko ci, którzy już nie mogą ująć w martwiejącą rękę broni, którzy...... polegli.

Setkami, ułożeni w długich grobach obok siebie, spoczywają oni w pustynnym piasku, nie czuli już na huk dział ani głosy komendy.

1 listopada ubiegłego roku ustawiono na grobie ofiar padłych w pierwszych walkach prowizoryczny pomnik. Byli to polegli 84 pułku. W miejscu, gdzie krew swą przelali, wśród drzew oliwnych opodal gruzów willi Djemal beja, znalazły te biedne ofiary ludzkich zapasów ostatnie schronienie. Na drugi dzień po bitwie wykopano długi grób i złożono w nim wszystkich poległych, oficerów obok szeregowców i przysypano pustynnym piaskiem.

Z odłamków skał i rumowiska towarzysze broni pomnik im usypali. Wznieśli piramidę dosyć wysoką. Na jej szczycie umieścili złamaną piękną kolumnę rzymską, znalezioną w sąsiednim ogrodzie, a pomnik obwiedli łańcuchami. Na pamiątkę walk stoczonych nanieśli na szczyt piramidy pod kolumnę połamanych resztek broni, rozbitych kul armatnich i szczątków granatów.

Na tablicy marmurowej pod kolumną widnieje ołówkiem wypisany napis: „Siódma kompania 84 pułku piechoty swym towarzyszom-bohaterom, poległym 26 października 1911 roku“. Na drugiej tablicy spisano kolejno imiona i nazwiska tych, których kryje mogiła.

Pomnik budowano nieledwie ukradkiem w przerwach między jedną walką a drugą, a 1 listopada uroczyście go poświęcono. O godzinie 10 rano cała siódma kompa-

nia pod wodzą swego pułkownika Bruscalupiego stanęła w około. Z innych pułków przybyli konno oficerowie.

Na prędce na bębnach ustawiono ołtarz polowy, ale ksiądz nie mógł przybyć, gdyż grożący napad Arabów na to nie pozwalał.

Nad głowami żołnierzy powiał sztandar pułkowy, kulami już poorany. Pułkownik wstąpił w środek czworoboku. Komenda!... sprezentowano broń, a dowódzca drżącym głosem począł czytać listę, ostatni apel tych, którzy już spali snem wiecznym. W ciszy padały nazwiska: „Kapitan Failini, nadporucznik Hombert, porucznik Orsi, porucznik Bellini, Porucznik Solaroli, porucznik Granafoi“ i t. d. Padały nazwiska, coraz nowe i nowe, zdawało się, że lista nie ma końca. Donośny głos pułkownika rozbrzmiewał w ciszy złowieszczo, budząc w sercach słuchających bolesne echo. Gdzieniegdzie tylko zadrżał karabin w ręce wyciągniętego jak struna żołnierza, cicha łza spłynęła z pod pół przymkniętej powieki. Oficerowie starali się utrzymać w surowej powadze. Stary, siwiutki, jak gołąb pułkownik Olivieri zmagał się z sobą przez długą chwilę, wreszcie żal zerwał w nim tamę obojętności, jaką się na zewnątrz opancerzyć usiłował. Wybuchnął głośnem łkaniem i odszedł szybko na bok. Wreszcie padło ostatnie nazwisko, apel umarłych skończony. Krótka, cicha pauza, pułkownik wzniósł błyszczącą szablę ku niebu „W imieniu Boga — zawołał doniosłym głosem — w imieniu króla, w imię tej dalekiej Ojczyzny, w obliczu wroga tu na tym krwią przesyconym szańcu wpisuję wasze nazwiska do pełnej starej księgi historycznej naszego pułku. Niech żyje król!“

Z 'ale a od oazy dolatuje nagle huk armat, a potem sypie się groch wystrzałów karabinowych. Z rozwianym sztandarem wśród huku pękających granatów kompania rozwija szeregi i idzie... defiluje przed grobem tych, którzy już po bitwie. Oddział po oddziale przeciąga koło kamiennego wzgórka a każdy żołnierz rękę wznosi, jakby na pożegnanie.

W godzinę potem znowu wszyscy byli na stanowiskach.

W pół rozwalonej przydrożnej chałupie pułkownik oglądał sztandar zdobyty na Turkach. W tem przez wywalone drzwi wbiegł młody oficer. Cała postać pokryta kurzem, znać, że daleką przebył drogę. W ręce niósł mały bukiecik kwiatów. Wracał z pogrzebu poległych w 26 pułku piechoty.

Lecz na pożegnanie z grobu oficerów-kolegów wziął tą małą wiązankę. Przynosi ją pułkownikowi Może.... kiedyś w przyszłości te nikłe kwiaty stanowić będą jedyną pamiątkę po kimś drogim i kochanym, dla żony, siostry lub narzeczonej, która została tam.... w Ojczyźnie, a która grobu swego ukochanego już nigdy nie zobaczy.

Obaj żołnierze bez słów spojrzeli sobie w oczy. Pułkownik pochylił głowę i zapłakał cicho. W oczach młodego oficera zamigotały dziwne blaski, przez chwilę walczył ze sobą, potem wyciągając rękę z kwiatami do pułkownika szepnął: „Poszlemy... je... tam... kobietom!“

W tej chwili gdzieś w przestworzach nocy huknął strzał, za nim drugi i trzeci. Pułkownik zerwał się: „Napadają nas!“ Chwycił szablę i wybiegł z chałupy.

A na całej linii bojowej już ruch i strzelanina. Huczą basem armaty, trzaskają karabiny, tu i ówdzie reflektory elektryczne rzucają długie smugi światła.

Po chwili wrzawa przycichła. Światła gasną. To fałszywy alarm.

Piekło dziecięce.

Znany pisarz angielski G. Wells opisuje między innemi w swej książce »Przyszłość Ameryki« okropne stosunki, panujące w sferach robotniczych, a przedewszystkiem wśród pracujących dzieci. Autor książki nazywa je najsłabszą i najbrzydszą częścią wspaniałej fasady gmachu amerykańskiego dobrobytu.

I słusznie. W tym najbogatszym dziś kraju pracuje przeszło 1 milion 700 tysięcy dzieci poniżej lat 15 w polach, fabrykach, kopalniach, warsztatach, 80 tysięcy dzieci, przeważnie małych dziewczątek, pracuje przędzalniach.

W południowych Stanach pracuje obecnie 6 razy więcej dzieci, niż przed 20 laty i co roku armia dziecięcych robotników się wzmaga.

Najwięcej dzieci do pracy dostarczają Włosi. Komisaryat wychodźczy w Ellis Island wykazuje, że Włosi przemycają pod rozmaitemi pozorami dzieci do Ameryki, tak, że para małżeńska wiezie często ośmioro swoich dzieci i rozmaite kuzynki, wnuczki, dzieci przyjaciół i t. d.

Małe dzieci nawet 5 do 6 lat zaledwie liczące, stają od rana do 10 — 12-godzinnej pracy, a przyszedłszy wieczorem do domu, rzucają się na pościel śmiertelnie znużone, niechcąc nawet posiłku. Inne partye dzieci pracują w nocy wśród szalonego huku machin i świstu wrzecion, oddychając powietrzem, przesiąkniętem pyłem i brudem; 6-letnie dzieci pracują po 12 godzin dziennie w przędzalniach a 10—11 godzin w kopalniach węgla, gdzie czyszczą węgiel. Mnóstwo dzieci ginie lub wpada w kalectwo, głównie przy obsługiwaniu maszyn, inne przed 20 rokiem życia wpadają w astmę i suchoty.

U milionera Bordena pracuje móstwo małych chłopców, którzy pakują sukno do chemicznego ługu. Wyglądają okropnie, ciała wychudzone i zniszczone, aż litość bierze patrzeć na nie.

Podobne obrazy iście piekielne przesuwają się przed oczyma widza w każdej niemal fabryce. Tak n. p. w rzeźni w Chicago czyszczą dzieci ubikacye i mięso, brodząc po kostki w smrodliwej kałuży nieczystości krwi bydląt. Dopiero w ostatnich czasach wydano ustawę, aby w rzeźni nie zatrudniano dzieci niżej lat 16.

Okropne te stosunki są wynikiem nieokiełzanej wolności i wyzysku. Milioner amerykański wyzyskuje bez miło sierdzia tę wolność, niekrępowaną ustawą i nadzorem państwowym. Ustawodawstwo robotnicze podlega autonomicznym rządom każdego Stanu z osobna, więc potentaci finansowi korzystają z tego i przekupstwem unikają wszelkiej kontroli.

To wczesne zaprzęganie dzieci do pracy ma jeszcze inne złe strony. Dzieci te nie chodzą do szkoły i dochodząc do wieku dojrzałego, są analfabetami o dzikich instynktach, nieraz zupełnie zbydlęcone. Mając prawo głoso-

wania, stają się w czasie wyborów bezkrytyczną masą, gotową na skinienie agitatorów głosować na tych, którzy dają pieniądze. Dzieci takie wyrósłszy, stają się materyalnie i moralnie niemal stracone dla społeczeństwa, nie mówiąc już o tem, że prawie z reguły nie nadają się do służby wojskowej.

Dlatego przyszłość Ameryki nie przedstawia się tak różowo, jeżeli stosunki te nie ulegną zmianie. Tych kilka przykładów wystarczy, aby wyrobić sobie wyobrażenie o tem piekle dziecięcem w Ameryce.

Rozmaitości.

Zakład w Pawlikowicach pod Wieliczką: Przed niedawnym czasem ukazały się w prasie odezwy Zakładu opuszczonych sierót w Pawlikowicach, wołające o pomoc materyalną ze strony społeczeństwa.

Skromne były początki tegoż zakładu. Przed ośmiu laty nabyło bowiem Towarzystwo „Powściągliwość i Praca" w Miejscu Piastowem obszar dworski Pawlikowice, obejmujący wraz z łąkami i młodym lasem około 130 morgów gruntu za 72 tysiące koron, na którą to sumę mogło Towarzystwo zaledwie kilka tysięcy wpłacić.

Cudem prawie istnieje ten Zakład dotąd, żywiąc i wychowując przeszło 150 ubogich i opuszczonych chłopców, gdyż płody ziemne nie wystarczają na wyżywienie tylu wychowanków, na ich wykształcenie fachowe i spłacenie rat ciążących długów, które dochodzą do 7 tysięcy koron półrocznie, a przychody z ofiar były dotąd bardzo szczupłe.

Należy zwrócić uwagę i na to, że przy objęciu tegoż dworku, były budynki i pola w największem opuszczeniu; dopiero przy usilnej pracy dyrektora p. Jana Latuska, jego współwychowawców i wychowanków zostały jako tako przyprowadzone do porządku.

Każdy wychowanek pomaga pracą swoją w polu i ogrodzie, ucząc się przytem rzemiosła. Warsztaty (krawiecki, szewski, stolarski, kowalski i ślusarski), chociaż jeszcze nie zupełnie rozwinięte, kształcą jednak wychowanków na dzielnych rzemieślników.

W obecnej chwili Zakład ten mało znany jeszcze społeczeństwu, obciążony znacznym i długami, których dotąd nie zdołał jeszcze umorzyć, a równocześnie zmuszony do koniecznej gruntownej reperacyi budynków zakładowych, udaje się z usilną, a pokorną prośbą do całego społeczeństwa polskiego o rychłą pomoc materyalną, zapewniając przytem, że młodzież wycho-

wana należycie i puszczona w świat nie będzie już ciężarem, ale chlubą narodu.

Wszelkie łaskawe datki prosimy przesyłać pod adresem: P. Jan Latusek, dyrektor zakładu wychowawczego w Pawlikowicach p. Wieliczka.

Ważna uchwała trybunału administracyjnego. Z okazyi jakiegoś specyalnego wypadku rozstrzygnął trybunał administracyjny, że dzieci katolickich rodziców muszą być chrzczone. Ten obowiązek nie ustaje nawet, gdyby rodzice uznali się bezwyznaniowymi, bo według ustawy dziecko wprawdzie do 7-go roku należy do wyznania rodziców, jednakże bezwyznaniowość nie jest wyznaniem; rozstrzygającem jest więc wyznanie poprzednie.

Ogromne szkody w lasach. Rok 1911 zaliczyć można do rzędu lat klęsk elementarnych. Zboża we większej części pogniły i porosły, kartofle pomarzły w ziemi, a po wykopaniu przy wysokiej płacy robotnika pogniły w kopcach, a przebrane, znowu za drogie pieniądze, gniją dalej w kopcach. Robotnika do przebrania płacono koronę dziennie, to jest od 9 rano do 4 po południu z dwugodzinną z tego przerwą na południe.

Teraz nawiedziła nowa klęska nasze lasy. Niezwykła gołoledź w początkach grudnia zeszłego roku pokryła bryłami lodu drzewa i tysiącami połamała i pogięła do ziemi. Jest to ogromna szkoda dla właścicieli lasów, a jest także klęską dla tych lasów, które spekulacyjni parcelanci lasów niszczą parcelując. Ci niszczyciele będą mieli obecnie wymówkę, że las musiał być wycięty, bo był wyłamany.

Spis ludności na Śląsku, przeprowadzony ostatniego grudnia grudnia 1910, wykazał wedle ukończonych obliczeń 756.948 mieszkańców, z czego Niemców 325.588, Polaków 235.224, Czechów 180.352, innych narodowości 361.

Stosunek narodowościowy przedstawia się procentowo następująco: Niemców 43·04 prc., Polaków 32·06 prc., Czechów 23·73 prc. Wedle wyznania 638·730 (czyli 84 prc.) katolików, 109·749 (czyli 13 prc.) ewangelików i 13·442 (czyli 1·77 prc.) żydów.

300-letnia rocznica Kościoła grecko-katolickiego w Chorwacyi. Mało kto wie, że i w Chorwacyi są unici obrządku grecko-katolickiego. Mianowicie podczas wojen habsbursko-tureckich bardzo często zdarzało się, że Słowianie z Bałkanu osiedlali się w krajach habsburskich. I w ten sposób z końcem XVI. wieku zaludniła się prawosławnymi zbiegami z pod panowania sułtańskiego okolica miasta Pribić w Chorwacyi.

W roku 1611 przystąpili oni do unii, zachowując jednakże swoją odrębność obrządkową; i tem się właśnie tłumaczy, że unitów obrządku greckiego spotykamy również wśród Chorwatów. W roku więc zeszłym przypadła 300-setna rocznica unii, którą w miesiącu grudniu obchodzono w mieście Pribiću bardzo uroczyście. Sam władyka krzyżewacki ks. Drohobetzky dokonał poświęcenia kamienia węgielnego pod nową cerkiew grecko-katolicką

i on celebrował Mszę św. w ornacie, darowanym ongi przez cesarzową Maryę Teresę.

Biskup Drohobetzky odnowił własnym kosztem stary historyczny zamek rodziny Zrinskych Frankopanich, przed którym się znajduje olbrzymie jezioro, a na niem ostrów; i na tym właśnie ostrowie stanie wspaniała świątynia w bizantyńskim stylu. Na uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego, która była wstępem do obchodu rocznicy unii, zjechali się południowi Słowianie ze wszystkich okolic i to obu obrządków: grecko- i rzymsko-katolickiego.

Bismarck w sprawie polskiej. *Neue Fr. Presse* opublikowała z końcem roku ubiegłego niedrukowane jeszcze pamiętniki Franciszka Crispi'ego roku 1887.

W tej publikacyi znajduje się ustęp zajmujący, odnoszący się do sprawy polskiej. Mianowicie notuje Crispi pod dniem 27-go września 1887 swoją rozmową z Bismarckiem. Bismarck wskazywał na to, że wszelkimi sposobami starał się Rosyę przyciągnąć ku Niemcom, ale nigdy się mu to nie udało Na wszelkie uprzejmości Rosya odpowiadała nagromadzeniem coraz to więcej wojska na granicy niemieckiej.

Dalej mówił Bismarck, że Rosya jednak nie jest swoich wojsk pewna. Żołnierze i oficerowie przejęci są duchem rewolucyjnym. Całe wielkie państwo, które wydaje się tak silnem, bynajmniej takiem nie jest. Polska jest słabym punktem Rosyi, a Austrya jest u Polaków lubianą. Gdyby tylko cokolwiek dopomożono Polakom do powstania, mogliby zrzucić swoje jarzmo i pod austryackim arcyksięciem utworzyć samodzielne państwo.

Palenie zwłok. Rada miasta Bazylei (w Szwajcaryi) uchwaliła 49 głosami przeciw 42, jako zasadę, że pogrzeby mają się odbywać przez palenie zwłok. Grzebanie zmarłych w ziemi nastąpić ma w przyszłości tylko na wyraźne żądanie.

Epidemia tyfusu w Hiszpanii. W mieście Gyon w północnej Hiszpanii wybuchła straszliwa epidemia tyfusu. Zachorowało ogółem 2.500 osób; przeciętnie umiera dziennie 30 ludzi. Epidemia rozszerza się i na okoliczne wioski. Rodziny zamożniejsze opuszczają miasto i uciekają do Madrytu, wskutek czego i stolica jest zagrożona epidemią.

Klepsydra w parlamencie. Z Paryża donoszą, że niezwykłą nowość w francuskiej Izbie stanowi ustawienie na trybunie mowców „zegaru piaskowego" Zarządzenie powyższe wywołała uchwała Izby w czasie jeneralnej dyskusyi nad budżetem, że mowcy mogą przemawiać najdłużej kwadrans. Tym sposobem zegar przypomina mowcy, jak drogą jest każda minuta i zmusza do streszczenia wywodów.

CZĘŚĆ POWIEŚCIOWA i NAUKOWA.

Jak dawno człowiek żyje na ziemi.

Uczeni zajmowali się i zajmują się jeszcze pytaniem: jak dawno rodzaj ludzki żyje na ziemi?

Wierzący katolicy opierając się na Piśmie świętem nie przypisują rodzajowi ludzkiemu tak odległej przeszłości, jak to czynią uczeni świeccy, odrzucający powagę Pisma świętego.

Trzeba tu odróżnić stworzenie świata od stworzenia człowieka.

O stworzeniu świata mówi Pismo święte krótko i ogólnikowo, natomiast szerzej nieco przedstawia stworzenie człowieka.

Co do stworzenia świata — to można przypuścić, że świat istnieje już setki tysięcy, a może miliony lat, człowiek zaś stworzony został, czyli pojawił się daleko później na ziemi.

Pismo święte nie podaje nam wprawdzie dokładnego obliczenia czasu od stworzenia Adama do potopu, i od potopu do Chrystusa Pana, w każdym razie kładzie stworzenie człowieka mniej więcej na 5.700 lat przed Chrystusem Panem.

Między chrześcijańskimi pisarzami niema jednak pod tym względem zgody. I tak: Beda liczy od Adama do Chrystusa Pana 5 190 lat, święty Cypryan: 6.000 lat, Julian z Toledo 6.011 lat. Profesor dr. Schanz, oblicza na podstawie pewnych liczb Pisma świętego, że człowiek stworzony został na 8 tysięcy lat przed Chrystusem.

Ponieważ zaś w Piśmie świętem niema dokładnych liczb w tej sprawie, więc Kościół nie sprzeciwia się, jeżeli nauka na podstawie badań dochodzi do wniosku, że rodzaj ludzki istnieje o kilkaset lat dłużej, niż to podaje Biblia.

Zresztą, jeden z uczonych wyraźnie mówi, że choćby nauka stwierdziła, że rodzaj ludzki dłużej istnieje, to i ta okoliczność nie obniża powagi Pisma świętego, ani religii, a Pismo święte nie kładzie w tym względzie tamy badaniom naukowym Pismo święte bowiem nie zajmuje się tyle historyą stworzenia człowieka, ile — więcej i głównie jego stosunkiem do Boga, i jego obowiązkami względem Boga.

*
* *

Warto mimo to posłuchać, co o tej sprawie mówią najstarsze narody, to jest narody starożytności pogańskiej.

Bierzmy naprzód Egipcyan. Historya Egiptu jest bardzo niepewną, gdy mówi o jego początkach. Jedni pisarze mówią, że najstarsza dynastya królów egipskich zaczęła rządzić na 6.117 lat przed Chrystusem, inni, że na 4.555 lat. Champollion słynny lekarz i znawca najdawniejszego pisma egipskiego, tak zwanych hieroglifów, twierdzi, że żaden egipski pomnik nie powstał wcześniej, jak na 2.200 lat przed Chrystusem Panem, to znaczy, że dopiero od 2.200 lat przed Chrystusem zaczyna się historya Egiptu. Natomiast prof. Schanz przypisuje piramidom egipskim 3.000 lat przed Chrystusem, i utrzymuje, że Egipcyanie posiadali już na 4.000 lat przed Chrystusem rozwiniętą oświatę.

Herodot, pisarz grecki, liczy od panowania króla Manesa, do napadu Persów na Egipt: 11 tysięcy 500 lat — ale sami Egipcyanie mówią, że u Herodota rok ma 3 lub 4 tylko miesiące. Manetho; który żył na 250 lat przed Chrystusem, pisze, iż w Egipcie panowało 30 dynastyi królewskich, lecz mylą się ci uczeni, którzy sądzą, że te dynastye (rody) panowały jedna po drugiej i rozkładają ich panowanie na tysiące lat, bo dynastye te panowały równocześnie w różnych częściach Egiptu.

Przypuśćmy jednak, że Egipcyanie posiadali już wysoki stopień oświaty na 3.000 do 4.000 lat przed Chrystusem, to zachodzi pytanie, skąd oni to wykształcenie otrzymali. Prawdopodobnie z Babilonu, bo Egipcyanie mieli z Azyi do Egiptu nad Nil przywędrować, co najnowsze badania stwierdziły.

Babiloński historyk Verosus, żyjący około roku 300-go przed Chrystusem Panem, rozciąga historyę Babilonu na 470 tysięcy lat, z tego 432 tysięcy do potopu.

Cyfry te, to bajki, tak samo, jak bajką są 34 tysiące lat, które po potopie miały nastąpić. Verosus bowiem dopiero od 2.250 roku zaczyna liczyć czas według zwykłych lat, więc tamte lata nie były zwykłymi latami.

Sławny znawca Asyryi, Oppert podaje rok 3.540 przed Chrystusem, jako czas budowy wieży babilońskiej.

Według odczytanego niedawno starodawnego pisma — Babilon i Niniwa, owe gniazda prastarej cywilizacyi, nie sięgają swą przeszłością poza rok 4 tysięczny przed Chrystusem. Idźmy dalej.

Według najstarszych ksiąg Indów (Hindusów w Azyi), świat istnieje 12 tysięcy lat boskich, a każdy rok boski ma 360 lat ludzkich, a więc według Hindusów, świat istnieje 4,320.000 lat. Z tego widać, że to także bajki i poezya, bo ci sami Hindusi rozpoczynają historyę swoją od roku 3.100 lub 2.448 przed Chrystusem.

Podobnie i Chińczycy obliczają istnienie świata na 63 tysiące lat, lecz zaczynają swoją historyę dopiero od potopu, który według nich był w roku 2.357 przed Chrystusem.

* * *

Przyjmując więc według badań nowszych, że ludy starożytności już w czasie 4.000 do 3.000 lat przed Narodzeniem Chrystusa posiadały dość wysoką oświatę, pismo i mowę rozwiniętą, nie można przypuścić, żeby około roku 2.500 przed Chrystusem wszystka ludność z wyjątkiem rodziny Noego, przez potop została zniszczona

W takim bowiem razie, to jest, gdyby całą ludność ziemi zniszczył był potop, zniknęłyby z nią także i zdobycze cywilizacyjne, a jednak te, jak wyżej piszemy, sięgają do 4.000 lat przed Chrystusem.

Dr. Schanz, aby to wyjaśnić, twierdzi, że albo potop był daleko wcześniej, albo potop nie zniszczył wszystkich zdobyczy ducha ludzkiego. Chaldejczycy mają w swych pismach opis potopu zupełnie zgodny z opisem Biblii, a przecie historyą swoją zaczynają o wiele wcześniej,

więc potop nie obejmował całej kuli ziemskiej. A chociaż Pismo święte mówi o całej ziemi — i o wszystkich narodach, to to może oznaczać tylko wielki jakiś obszar ziemi, lecz nie koniecznie całą ziemię.

Podobnie wyraża się Pismo święte o pierwszem chrześcijańskiem święcie Zielonych Świąt w Jezuzalem i głosi, że przybyli na nie ludzie ze wszystkich narodów, a to jest tylko sposób wyrażenia się, dosłownie więc tego brać nie należy.

Nie trzeba więc brać dosłownie słów Pisma św., że wszyscy ludzie zginęli w potopie z wyjątkiem Noego i jego rodziny, gdyż Pismo święte zajmuje się głównie narodami, których dzieje mają związek z przodkami Zbawiciela, o inne się nie troszcząc; niema więc w Piśmie świętym wzmianki o Europie.

Wprawdzie katoliccy uczeni twierdzą, że nie zachodzi wcale potrzeba takiego dowolnego tłumaczenia potopu — ale Kościół katolicki nic nie ma przeciw tej dowolności.

Rozmaici niedowiarkowie zarzucają, że niemożliwem jest, aby od trzech Noego synów, Sena, Jafeta i Chama w przeciągu mniej więcej 500 lat, ludność w miliony rozrodzić się mogła. A jednak jest rzeczą stwierdzoną, że z 6 dzieci w przeciągu 450 lat 2.000 milionów ludzi rozrodzić się może. Dowiedzionem jest także, iż przyjmując na każde małżeństwo czworo dzieci, to po 1.000 latach otrzymalibyśmy dwa razy tak wielką cyfrę ludzi, jaka teraz ziemię zamieszkuje.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ostatni kulig staropolski.

Było to w roku 1820: od połowy grudnia spadły ogromne śniegi, tak iż wioski pozasypywały i przerwały na dni kilka wszelki przejazd, nietylko po drogach bocznych, ale i na bitych gościńcach.

Od chaty do chaty, od dworu do zabudowań dworskich, w pośród mas śnieżnych trzeba było rozkopywać

przejście. W tydzień później wiatr ciepły powiał, prawie w jednym dniu zaspy śnieżne roztajały i znikły bez śladu, bez roztopów, wychyliły się dachy wioskowe i dworskie, a gdy wkrótce mrozy schwytały i znów lekki śnieg posypał, ustaliła się tak wyborna sanna, jakiej dawno nie było, i zima śnieżna trwała niemal do połowy marca.

Dwór pana starosty leżał wśród leśnej okolicy, o mil dwie od brańszczykowskiej puszczy. Był to dom staroświecki, murowany, z wieżyczką, zabytkiem starego zamczyska; ztąd w sąsiedztwie zwano go zamkiem.

Pan starosta, był to sędziwy już starzec. Pamiętał dobrze czasy Augusta III., w młodym wieku służył pod chorągwią przesławnej konfederacyi barskiej i dotrwał wiernie do końca, dopóki Kazimierz Pułaski, od murów Częstochowy, nie opuścił rodzinnej ziemi na zawsze. Po poddaniu świętego grodu, pan starosta, przywrócony do godności dawniej piastowanych, odznaczył się w usługach obywatelskich, bo też na żadną potrzebę krajową nie żałował tak krwi swojej, jak i mienia dostatniego.

Trzech dorosłych synów służyło dawniej w wojsku, najstarszy z legionów przyniósł krzyże legii honorowej i polskiej *virtuti militari* ze szlifami pułkownikowskiemi, ale zarazem i pięć ran ciężkich, które odebrały mu zdrowie. Dwóch młodszych poległo w Hiszpanii: jeden zginął jako szwoleżer przy zdobyciu wąwozów Sammo-Sierry, drugi w szturmie do Saragossy. Dwóch najmłodszych, już żonatych, trzymało dzierżawy od ojca.

Pani starościna, poważna matrona, liczyła lat 60, ale jeszcze czerstwa i pełna zdrowia, wyrozumiała dla młodego wieku, chętnie urządzała zabawy w domu swoim, lub należała do projektów, jakby wesoło u sąsiadów zapusty przepędzić.

To też tej zimy, zaraz po Nowym Roku, w gronie swej rodziny, podniecana przez dwie młode synowe, wesołe i lubiące tańczyć, ułożyła kulig do państwa skarbników, którzy za puszczą brańszczykowską we wsi Wierzbowie mieszkali.

Starosta, nie mogąc się oprzeć przymilaniu i prośbom synowych, przystał na wszystko. Pułkownik, dla strzaskanej

ręki od granatu, nie mógł brać udziału w zabawie, lubo do niej ochoczo zachęcał.

Po długiej przeto naradzie, postanowiono zebrać grono sąsiedniej młodzieży i przyjaciół, i w licznej czeredzie napaść niespodzianie dwór państwa skarbnikowstwa. Z początku przeznaczono na ten dzień Trzech Króli, ale ponieważ potrzeba było do wesela krakowskiego ubiorów stosownych, odłożono przeto zamiar na koniec stycznia. Tymczasem sprowadzono z poblizkich miasteczek żydów krawców do szycia sukien, i tak się zawinięto, że wszystko było gotowem na 20-go stycznia.

Ale trzeba było poprzednio odbyć próbę: pani starościna zaprosiła przeto wszystkich do kuligu należących na dni kilka do siebie. Wystąpił najprzód poważny organista, jeden z synów starosty, ze swą żoną jako organiściną, i ognistą wypalił perorę.

Mowa ta, pełna humoru i dowcipu, serdecznie rozweseliła sędziwego ojca i poważnego pułkownika. Tańce udały się wybornie. Na drugi dzień chciano zrobić niespodziankę dla pani starościny. Kiedy się więc zmierzchło dobrze, usłyszano we dworze odgłos piskliwych fujarek z bębnami. Gdy oboje starostwo spojrzeli na siebie zdumieni, wbiegła synowa młodsza, a klaszcząc w ręce radośnie, prosiła ich, żeby pozwolili wnijść cyganom. I zaraz za nią zaczęła się tłoczyć cała banda, a ze środka jej wysunął się ogromny niedźwiedź bury, białoszyjnik, i począł niezgrabny swój taniec, przy brzmieniu fujarek i dwóch bębenków.

Starosta pierwszy poznał w przebranych cyganach swoich znajomych, ale przed żoną utaił swoje odkrycie. Dopiero gdy chórem cała banda, dobranemi głosami, zanuciła pieśń na cześć gospodarstwa, zerwała się z kanapy i zaczęła całować i ściskać urodne cyganki.

— A Bogdajże was Pan Bóg chował zdrowo i szczęśliwie — mówiła wesoło poważna matrona, a toż to ja nie poznałam swoich.

— A ja poznałem, ale mojej dzieweczce nie mówiłem nic i siedziałem jak trusia — wyrzekł starosta, śmiejąc się serdecznie.

W tę chwilę niedźwiedź wysunął się naprzód, oddał niezgrabny pokłon, pochwycił rękę starościny i pocałował.

— A toż kto? — zapytała przestraszona nieco gospodyni domu.

— Cóż to, mateczka nie poznała? — odezwała się starsza synowa; toć to przecie pan Jacenty.

— Ktoby go tam poznał w tej niedźwiedziej skórze? — odrzekła starościna, taki straszny... a wybornie udawał niedźwiedzia.

Pan Jacenty, był to jej daleki krewniak, zawołany myśliwiec, zawiadujący w dobrach starosty, jako nadleśny, obszernemi borami.

Po wypoczynku, zaczęto robić przygotowania do wyjazdu kuligowego. Dwadzieścia kilka sań napełniło obszerny dziedziniec przed dworem. Wytoczono staroświecką karetę na saniach, którą młodzież zebrana z ciekawością oglądała. Na szerokich łozach, które się na przedzie kończyły ogromną głową murzyna w ponsowym zawoju, z wyszczerzonemi białemi zębami, umocowane silnie, wznosiło się pudło ogromnej karety. Cztery jej rogi stroiły małe bronzowe wyzłacane wieżyczki, z głośnemi dzwonkami. Drzwi każde zdobiła para malowanych na tle pąsowem białych gołąbków, całujących się dzióbkami. W tych to saniach, przed czterdziestu kilku laty, jechał pan starosta do ślubu.

Wyobroczono dobrze konie, i nazajutrz po śniadaniu postanowiono wcześnie wyruszyć, bo było blizko sześć mil do dworu państwa skarbnikostwa.

Szanownych gospodarzy obu tych domów, nazywamy dawnymi, z czasów jeszcze Rzeczypospolitej, tytułami godności, które niegdyś posiadali. Stan rzeczy już wtedy się zmienił, młode pokolenie nie znało ani starostów ani skarbników; lecz chociaż w urzędowym języku nie miały te tytuły żadnego znaczenia, wszyscy je dawali przez szacunek tym, którzy je dawniej, w innych, a już odległych czasach nosili prawnie.

Od świtu przed dworem służba dworska i czeladź uwijała się żwawo. Tymczasem pan starosta, po długiej naradzie z nadleśnym Jacentym, wyszedł w podróżnym ubraniu. Mróz był lekki, powietrze miłe, chociaż chłodne. Słońce czasem wyjrzało bladem obliczem z pośród chmur spokojnie wiszących, niepędzonych wiatrem.

Godzina naznaczona uderzyła, zajechały pierwsze saneczki jednokonne, a ciągnął je najlepszy biegun ze stajni starosty, sławny jednochodnik. Wybiegł arlekin w masce czarnej, z drewnianą czapeczką w ręku, uderzył nią każdego ze stojących na ganku, zarzucił niedźwiedzie, i zniknął nam z oczu. On to miał być zwiastunem najazdu kuligowego we dworze skarbnika.

Starosta przeciągał coraz wyjazd, jakby oczekiwał na kogo. Jakoż wkrótce nadjechał pan Jacenty, na czele czternastu zbrojnych myśliwych; za nimi nadciągnęły sanie ładowne w kagańce i pochodnie.

Kiedy wszyscy zebrani stanęli na ganku, wtedy wyszedł sędziwy proboszcz miejscowy, w komżę przybrany, odmówił głośno modltwę, prżegnał obecnych na szczęliwą drogę i pokropił święconą wodą.

Niedługo wszystkie sanki ruszyły z podwórza, pozostali tylko razem proboszcz i pułkownik.

*
* *

Dwie mile do puszczy, przelecieliśmy w przeciągu niespełna godziny. Przed karczmą dano nieco wytchnąć koniom i rozpytano o pierwsze sanie.

— Ho! ho! proszę jaśnie pana, zawołał gospodnik, już dobry kawał czasu, jak tu był pan jakiś, ubrany jak djabeł wenecki. Dzieci go się nastraszyły i wszyskie za piec uciekły, a on tylko odetchnął koniowi — i znowu jak wiatr poleciał.

Ruszyliśmy dalej; w puszczy najwyborniejsza sanna, a śnieg ubity, nieraz pod kopytem ostro kutem iskry wyrzucał. Konie same ochoczo leciały. Szum cichy puszczy, parskanie rączych biegunów, pokrzyk woźnic i gwar wesoły jadących, mięszały się w dziwną, a radosną harmonię.

Pan Jacenty ze strzelcami, wyciągniętym kłusem, dotrzymywał saniom.

Zmrok w puszczy wcześniejszy; to też przebywszy trzy mile dobre, cały orszak zatrzymał się w karczmie na uboczy stojącej, odpocząć koniom i przebrać się jak należy.

Kiedy w godzinę później siadaliśmy do sani, pan Jacenty, po krótkiej na stronie rozmowie ze starostą, kazał

zapalić kagańce i pochodnie; pierwsze rozdał do każdych sani, drugie strzelcy ujęli w ręce.

Zwolniono kłusa.

— Dlaczego tak wcześnie zapalono pochodnie? — zapytała męża pani Adamowa, starsza synowa starostów.

— Gdzie tam widno, nim zajedziemy, to mrok dobry będzie — odrzekł jej z uśmiechem; ale miał na pogotowiu dubeltówkę skałkową i parę pisoletów za pas założył, położywszy na nogach szturmak nabity.

Co ty Adasiu tak się zbroisz? może tu są zbójcy — zawołała z przestrachem żona.

— Moja Teofilko, zkąd tu zbójcy? A wieleżby ich potrzeba, żeby nam podołali! Sęk*), co tu rozbijał, oddawna zniknął. My robimy przygotowania, bo karczmarz mówił, że pokazały się gromady wilków.

— A to co innego, ja się wilków nie boję...

Przerwał rozmowę małżonków donośny głos pana Jacentego stój!

— Co takiego? — zapytał starosta, wychylając głowę z karety.

— Ujrzałem po śniegu, panie starosto, gęsty trop wilczy. Trzeba, żeby sanie jedne za drugiemi wolnego truchcika jechały: my otoczymy je dokoła. Bartosz z pochodnią naprzód!

I stary strzelec na siwku, wysunął się przed pierwsze sanie, potrząsając co chwila gorejącą pochodnią.

Z bitego gościńca zjechaliśmy w lewą drogę, wiodącą krańcem puszczy. Zmrok już gęsty zapadł, dwór pana skarbnika zdala jak na dłoni z pagórka widoczny, bo we wszystkich oknach biła łuna od świec jarzących.

— Adasiu! co to tak w tej puszczy ciemnej świeci, jakby świętojańskie robaczki, tylko większe i jaśniejsze?

W tę chwilę zabrzmiał głos pana Jacentego: Bartosz, lepszego kłusa wyciągaj!

I ruszyliśmy rzeźko, jak z domu wyjeżdżaliśmy.

---

*) Sęk, nazwa zbójcy głośnego w owych czasach, tak w puszczy brańszczykowskiej, jak i w okolicy całej. Rodem był kurp; słynny z olbrzymiej siły; postronki rwał jak nici, łamał podkowy. Schwytany przez jednego z panów podróżnych, skrępowany, leżał już na bryce. Odetchnąwszy ze zmęczenia i bójki, po krótkim spoczynku, jak naprężył silnie ręce, jak szarpnął, pękły postronki, a Sęk zeskoczył i znikł w puszczy. Odtąd już śladu jego nie było.

— Te ogniki, moja Teofilko — odrzekł mąż z uśmiecem, to ślepia stada wielkiego wilków, któreby nas tu schrupały, gdyby nie pochodnie i kagańce.

— Jezus Marya, Józef! — zawołała pani Adamowa bledniejąc, a wasza broń?

— Dobra byłaby na kilku lub kilkunastu, lecz nie na taką chmarę. Ale niebezpieczeństwo minęło, już wjeżdżamy w opłotki wiejskie. Patrz Teofilko, jak blady pan Jacenty przy tym połysku pochodni; to mężny człowiek, a te niemało mu piotra napędziły.

— Zgasić pochodnie i kagańce — zabzmiał głos nadleśnego, i w jednej chwili zmrok nas ogarnął. Tylko silniej bijące łuną okna dworu skarbnika rozświecały nam drogę. Wjechaliśmy bramą roztwartą, a muzyka kuligowa zabrzmiała przy wtórze pieśni ową sławną, weselną śpiewankę:

A żebyś ty chmielu na tyczki nie lazł...

Na ganku zjawił się niespodzianie nasz arlekin, i on wprowadził na wielką sali kuligowy orszak. Na progu przy drzwiach roztwartych, trzymając na tacy chleb i sól, sędziwi skarbnikostwo powitali z gronem rodziny swojej oczekiwanych gości. Starosta rzucił się w objęcia skarbnika, i dwaj nad grobem stojący starcy radość swoję tylko łzą serdeczną świadczyli, bo ze wzruszenia słowa przemówić nie mogli.

Muzyka kuligowa zabrzmiała, odpowiedziała jej kapela, wcześnie widać przygotowana, lecz w oranżeryi dotąd ukryta przez skarbnika. Radosny wykrzyk dowodził wesela wszystkich.

Pan Jacenty, już przebrany, ukazał się w sieni, gdy arlekin porwał go za rękę i wciągnął do bocznej alkowy. Wszedłem za nimi. Kiedy przywódzca kuligu zdjął maskę, poznałem dopiero w arlekinie, Piotra, akademika warszawskiego, którego zwano zwykle skoczkiem, dla zgrabności w tańcu i lekkości. Był to także krewniak daleki starościny.

(Dokończenie nastąpi).

Apostolstwo matek chrześcijańskich.

Zastanówmy się i rozważmy, czem jest matka w społeczeństwie i czego nasze społeczeństwo od każdej matki wymagać może.

Każde społeczeństwo składa się z pojedynczych rodzin, które są jakby ogniwami jednego wielkiego łańcucha, jakby cegiełkami, z których zbudowany wielki gmach społeczny. Co więcej, rodzina jest najgłówniejszym fundamentem budowli społecznej, a wiadomo, że gmach jest wtedy tylko dobry i trwały, gdy fundamenty jego są trwałe i mocne; w przeciwnym bowiem razie, to jest, gdy fundamenty są słabe i kruche, gmach cały musi runąć w gruzy. Tak samo i w społeczeństwie.

Gdy społeczeństwo swój byt oparło na fundamentach trwałych, jakimi są rodziny dobre, długo istnieć będzie i śmiało będzie stawiać czoło wszelkim burzom i nawałnicom dziejowym, lecz skoro rodziny będą złe, społeczeństwo, na nich oparte, długo istnieć nie może i zginąć musi.

Musimy więc dążyć do tego, aby wszystkie nasze rodziny były dobre, a dobre zaś będą tylko wtedy, gdy duchem chrześcijańskim będą przesiąknięte, gdy znikną w rodzinach niezgody, kłótnie i swary wzajemne, gdy pijaństwo, obłuda i nieuczciwość zginą na zawsze, gdy w tych rodzinach będą wychowywali dzieci nie na nożowców lub pijaków, lecz na prawdziwych chrześcijan i dzielnych, a pracowitych obywateli i obywatelki kraju.

Do tego dążyć musimy, lecz któż tego dzieła najlepiej dokonać może?

Któż, jak nie matka.

Matka bowiem swoją miłością ogrzewa serca wszystkich członków rodziny, swoją cierpliwością i taktem rozbraja gniew męża, pracą zachęca i pobudza innych do pracy. W rękach matki znajduje się d z i e c k o, które przecież jest przyszłością i nadzieją społeczeństwa Jakie wychowanie damy dzieciom, takich będziemy mieli członków społeczeństwa, a od kogóż, jak nie od matek zależy, aby to wychowanie było dobre?

Widzimy więc, że matka jest jakby kapłanką domowego ogniska i Aniołem, stojącym na straży czystości i świętości rodziny, a więc i społeczeństwa.

Zajmując tak wysokie stanowisko w rodzinie, bardzo dużo dokonać może.

Może odrodzić całe społeczeństwa, czyli, jak to słusznie powiedział Papież Pius IX. »nawrócić cały świat«.

W tem to nawróceniu świata na drogę prawdy, ku Chrystusowi, jest wielkie apostolstwo matek chrześcijańskich.

Lecz pyta się może która z matek, jak tego dokonać można?

Odpowiedź bardzo prosta. Wychowujcie swe dzieci po chrześcijańsku, to jest w miłości ku Bogu i ludziom, unikajcie w domu swarów i niesnasek nadewszystko, bądźcie same dobrym przykładem i zachętą do dobrego, a możecie być pewne, że dokonacie wielkiego dzieła odrodzenia społeczeństw.

Matki chrześcijańskie, matki polskie, pamiętajcie o swem wzniosłem apostolstwie!

Bajeczna warta.

(Obrazek z czasów najazdu Napoleona na Hiszpanię).

— Niema więcej drzewa w obozie, ogień dogasa — zrobił uwagę jeden z oficerów.

— Nie wygaśnie! — zaprzeczył stojący obok kapral i wskazał na dwóch ludzi, którzy zbliżali się z dużym wózkiem, napełnionym pakami.

— Oto nasza wiązka chrustu! — rzeł pierwszy.

Rozbijano obcasami paki i naręcza, pełne jakiś tkanin kosztownych, i rzucano w dogasający żar; płomienie buchnęły.

— Cesarski ogień — szepnął Champeaux.

Nadchodzili drudzy, prowadząc objuczone muły, teraz była kolej na mantyle koronkowe czerwone, niebieskie, tak delikatne, jak z pajęczej tkaniny, nie miały one czasu nawet upaść na ziemię. podmuch złocisty ognia porywał je,

unosił, rozbijał w powietrzu, jak deszcz płomienny. Zapał ogarnął tłumy, wszyscy rzucili się do wozów z łupami!

Tam były ich skarby, wszystko co wieźli do Francyi, zabrawszy w Burgos.

Cesarz zdawał się nie widzieć; ręce jego oparły się na kolanach, broda zwisła mu na piersiach.

— Śpi — rzekł ktoś.

I szept obiegł obóz:

Cesarz śpi...

Jeden z kirasierów rzucił pakę — była pełna wachlarzy, odgłos ten poruszył cesarza.

— Obudzisz go — mruknął Champeaux.

I jednym ruchem ręki odsunął kirasiera; zagłębił swe dłonie i rzucił wachlarze w ogień.

Podobnych pak było trzy, wypróżniono je i rzucano ze wszech stron; a te cenne jak motyle padały w płomienie i widziano, jak ogień je obejmował, ukazując ryte na nich napisy »recuardo«.

Drogocenne wachlarze, arcydzieła ciepliwej pracy ludzkiej, tysiącami znikały. Palono majątek.

Cesarz spał ciągle...

Piętnaście tysięcy ludzi go otaczało, w pierwszych szeregach gwardya, dalej, poza obrębem świetlanym niezmierny tłum, kipiący entuzyazmem, z rozpłomienionemi oczami.

— Teraz kolej na obrazy! — zauważył ktoś półgłosem...

I zobaczono grupę artylerzystów.

Pojawiły się płótna ogromne, wyobrażające krwawe sceny, wyobrażające niewinne kobiety, unoszone w obłoki wśród Aniołów.

— Wstrzymać się!

Zbliżył się pułkownik chcąc, przeszkodzić zniszczeniu, lecz na gest, jaki ludzie zrobili — cofnął się, kładąc prawicę na główni szpady i zadawalniając się powiedzeniem do towarzyszącego mu oficera:

— Patrz pan, to Ribiera,..

I w miarę, jak te bezcenne pomniki geniusza padły w ogień, on objaśniał:

— To Murillo, Valasques, Goya...

W oddali szedł głos po obozie:

»Wyszedł z namiotu, chciał spędzić noc ze swoją gwardyą!«

Żołnierze uderzeniami siekier rozbijali zamki swych kufrów i wszystkie bogactwa poszły, by ogrzewać cesarza — i malowidła jedwabne, które płonęły jak złote zasłony i przepaski purpurowe, które można było wziąść w tym płomieniu za węże skrzydlate i zwoje koronek, przez których otworki przemykały płomyki prześliczne taborety o trzech nogach inkrustowane masą perłową i lustra w ramach ozdobnych i mandoliny i stare instrumenty jeszcze maurytańskie i tamburina o srebrnych grzechotkach i kastaniety z drogocennego drzewa, puginały nawet, których szerokie ostrza lśniły w ogniu, jak języki żmij jadowitych!...

Jeden dragon rzucił zdobyte perfumy.

Cesarz spał ciągle...

Paki wypróżniły się wkrótce...

Po jakimś czasie ogień zaczął dogasać; była północ i chłód nocny, wygnany daleko za obóz, powrócił mrożąc głosy.

— Nic więcej nie mam — rzekł któryś.

Napoleon szeptał przez sen tajemnicze słowa...

Żołnierze pierwszych szeregów, wszystko starzy gwardziści, mogli słyszeć jego oddech.

— Patrz jaki on mały — szepnął jakiś głos — na tym fotelu czterech tej miary by się zmieściło.

— A jego ręce, to ręce dziecka.

— A nogi? Możnaby rzec, że to nogi tych Egipcyanek, któreśmy widzieli.

— Sluchaj — mówi coś.

Istotnie cesarz mówił przez sen i wpół zaledwie pochwytne słowa padały z ust jego:

— Angli... Wschód... narody... moja szpada... świat cały, Francya jedna...

— Co on mówi? Co on mówi? — szeptano.

— I płaszczyzna ożywiła się, w tym szepcie tysięcy — cienie podnosiły się, chciano wiedzieć — starano się dosłyszeć.

— Ogień dogasa — zrzędził Champeux, któremu ciągle szło o ten chłód nocny.

W tej chwili, przerzucany z ręki do ręki ponad głowami, wpadł w szeregi gwardyi duży pakiet, kilku starszych rozwiązało go — to był ostatni skarb jeszcze — instrumenty muzyczne.

— Rzuć je, Ripert.

Ripert rzucił, ogień natychmiast ożywił się.

Noc gwiaździsta pokryła dolinę.

I podczas gdy struny mandolin pękały w ogniu, żołnierze gwardyi, siedząc ciągle nieruchomo, otaczali cesarza, bez cienia żalu za straconą w ogniu fortuną. Pokazując sobie ten fotel i małą postać uśpioną, której krzyż złocisty lśnił na mundurze, pokazywali go pełni wzruszenia, widząc go tak słabym; śmiali się, płakali, szeptali jeden z drugim, robiąc sobie znaki, przykładając palce do ust.

A Napoleon spał ciągle.

WYBÓR ZAWODU.

Ileż to razy zdarza się słyszeć skargi na to, że zawód jakiemu ktoś się poświęcił, mu nie odpowiada. Dzieci żalą się na rodziców, że je do tego lub owego zawodu zmusili, rodzice zaś, którzy zbytnio pofolgowali wybujałej nieraz wyobraźni dziecka z bolejącem sercem patrzą na zmarnowane jego życie. Wybór zawodu jest rzeczą trudną. Fakt ten zaprzeczyć się nie da. Ale z drugiej strony o ile ktoś przy czynieniu tego wyboru trzyma się pewnych zasad, ułatwiających mu rozważne zastanowienie się nad sprawą, może mieć — nie powiemy — pewność, ale w każdym razie prawdopodobieństwo, że postępując w myśl tych zasad, wybrał trafnie i słusznie.

Pragniemy choć w ogólnym zarysie nakreślić podstawy, na jakich wybór zawodu powinien być oparty. Przedewszystkiem więc wybór zawodu jest sprawą religii i sumienia i to zarówno rodziców dziecka, jak i młodzieńca lub dziewczyny samych. Zawsze należy mieć na oku to, aby przyszły zawód nie stawał nigdy w sprzeczności z zasadami religijnemi i moralnemi, ale przeciwnie, aby do ich pielęgnowania dopomagał. Nie mamy tu na myśli tylko

poświęcenia się wyłącznie służbie Bożej, ale twierdzimy, że każda praca wykonana z zapałem i uczciwie samą swą treścią, staje się moralną i do moralności i religijności nakłania.

Dalej należy mieć na uwadze skłonności i chęci dziecka, choć pod tym względem potrzeba wiele ostrożności i rozwagi. Dzieci umysł mają bardzo giętki i podległy różnym wpływom. Są także okresy w życiu, gdzie natura sama jest, do przyjmowania wpływów zwłaszcza złych, bardzo podatną. Również okazują dzieci nieraz pewne wrodzone skłonności lub zdolności. Te wszystkie momenty należy dobrze zbadać, można nawet poddać dziecko pewnej próbie w tym lub innym kierunku, a dopiero potem wedle wyników tych badań o jego losach stanowić.

O ile chodzi o ludzi już dorastających, którzy sami zawód sobie obierają, to prócz powyższych uwag dodać trzeba jeszcze i to, że ci muszą sami umieć krytycznie patrzeć na siebie samych. Znając swe zdolności, a nadewszystko swe ułomności moralne, powinni wybierać taki zawód, gdzie ułomności te najmniej pola by miały do popisu.

Rodzice już przy wychowaniu dzieci powinni się starać o to, aby je wychować odpowiednio do zawodu, jakiemu pragną je poświęcić. Nie należy bowiem odkładać postanowienia o przyszłym zawodzie dziecka do ostatniej chwili, kiedy chłopak i dziewczyna opuszczają szkołę. Czasem może być wtedy za późno, a dusza dziecka puszczona przez szereg lat samopas, bez pewnego ustalonego kierunku, może się tak zmienić, iż stanie w poprzek zamysłom rodziców. Prowadzi to albo do egoistycznego poświęcenia losów dziecka rodzicielskim ambicyom, albo też czasem doprowadza do rozbicia się rodziny i do wielkich rozterek.

Kwestyą prawie że rozstrzygającą jest sprawa uzdolnienia tak cielesnego jak i duchowego do poszczególnego zawodu.

Przez niedostateczne uwzględnienie stanu zdrowia chłopca lub niebezpieczeństw, grożących jego zdrowiu, jakie praca w wybranym zawodzie za sobą pociąga lub też usposobienia chłopca do pewnych chorób, wystawia się nie-

jedno życie na przedwczesne zmarnowanie. Ileż to młodych ludzi ginie, ślęcząc nad aktami, ilu zaś marnuje się w dusznych fabrykach lub warsztatach.

Także i duchowe zdolności należy mieć na oku przy wyborze zawodu. Wielu rodziców jest ślepych w osądzaniu duchowych zdolności swych dzieci Wielu pragnie widzieć w każdem swem dziecku odrazu dziecko »cudowne«. Marnują oni czas i pieniądze, chcąc wykształcić je w wyższych zawodach lub szkołach, do jakich one nie są zdolne. Rezultatem takiego zaślepienia bywa zwykle zmarnowane życie. Z drugiej zaś strony inni rodzice nie dbają o zdolności swych dzieci, a te marnieją znowu z braku wykształcenia i możności rozwoju.

Zawody, do których wyuczenia potrzeba nauki, uwzględniać trzeba przed zawodami, których uczyć się nie trzeba. Nieraz rodzicom chodzi tylko o to, aby dzieci jak najprędzej zarabiały same. Oddają więc dzieci do pracy, często nie dając im żadnego albo bardzo małe wykształcenie. Takie dżieci stają się w przyszłości owym najbiedniejszym proletaryatem, zawsze źle wynagrodzonym i ubogim.

Wreszcie należy wybierać zawód, który ma dobre widoki na przyszłość, a nie taki, który może jest ładny, ale przepełniony. Jeśli ktoś liczy na to, że dzięki swym osobistym zdolnościom potrafi się wybić i zdobyć stanowisko nawet w zawodzie bardzo przepełnionym, to musi przedtem dokładnie zbadać swe zdolności i być bardzo pewnym swego.

Tyle o wyborze zawodu. Specyalnie o Galicyi dodamy słów kilka. U nas panuje wprost mania prześladowcza pod tym względem, że rodzice nie umieją cenić innej przyszłości dziecka, jak tylko urzędniczą. Wszystko jedno, czem chłopak będzie, byle miał pióro gęsie w ręce i tytuł choćby pachołka, to już do szczęścia niejednym rodzicom wystarczy. Dlatego brak nam dobrych kupców, przemysłowców, rzemieślników i t. d., ale mamy całe pułki urzędników, którzy z głodu mrą na swych »zaszczytnych« stanowiskach.

Wpływ kawy na organizm.

Ażeby ocenić znaczenie pożywne kawy, musimy zwrócić uwagę przedewszystkiem na jej skład chemiczny. Najważniejszym składnikiem kawy jest kofeina i od zawartości jej zależy działanie kawy. Surowa kawa zawiera 1·8 procent — 2·5 procent kofeiny, palona zaś mniej. Kofeina rozpuszcza się łatwo przy gotowaniu i od sposobu przyrządzenia kawy, zależna jest jej ilość.

Lepsze gatunki zawierają mniej kofeiny, aniżeli gorzze. Kofeina jest głównym środkiem działającym w kawie, a działa ona na ustrój w sposób następujący: wzmacnia csynność serca, sprzyja tworzeniu krwi, powiększa jej ciśnienie i częstość uderzeń serca, podrażnia pęcherz moczowy.

Kofeina zmniejsza wszelkiego rodzaju wzruszenia i zmęczenia fizyczne, ułatwia myślenie, odpędza senność, podnieca i dodaje jak gdyby nowego zasobu sił.

Prócz kofeiny zawiera kawa: substancye klejowate, białko, grosznik, substancye aromatyczne i garbnik. Substancye klejowate, białko i grosznik — są to pierwszorzędne materye pożywne — od garbnika zaś i substancyi aromatycznych, zależny jest smak kawy.

Działanie kawy zależne jest w znacznej mierze od tego, czy przyrządzany zostaje odwar, czy nastój. Nastój ma większe niż odwar działanie pobudzające, co zależy jednak więcej od olejków eterycznych niż od kofeiny. Działanie to zmniejszonem zostaje przez dodanie cukru, śmietanki lub mleka. Objawami pobudzenia są: zwolnienie krążenia krwi, bicie serca, drażliwość nerwowa, bezsenność. Nader ważną własność nastoju przedstawia wzmacniający jego wpływ na trawienie; właściwym więc on jest do użycia po obiedzie i dla chorych na żołądek odpowiedniejszym, niż odwar.

Czysty odwar pozbawiony jest w części aromatu, zawiera natomiast znaczną ilość garbnika, mniej więcej pobudza, i dla żołądka jest szkodliwym, albowiem składnik pomieniony, ścinając białko i przeszkadzając rozpuszczeniu się jego, utrudnia trawienie. Najgorszym jest odwar kawy z mlekiem. Z tego więc względu przy chorobach żołądka nie należy używać kawy z mlekiem lub śmietanką.

Natomiast odwar z kawy znanym jest już oddawna, jako środek przeciwko kurczom żołądka. Filiżanka czarnej kawy, z domieszką kilku kropel soku cytrynowego, usuwa niekiedy prawie w jednej chwili ból głowy, z zaburzeń żołądkowych pochodzący.

Kawa żołędziowa uważana jest jako środek przeciwko zołzom (skrofułom) i krzywicy (rachitis).

W ogóle kawa będąc trucizną nerwową, jest dla organizmu bezwarunkowo szkodliwą, a przytem stałe i nadmiernie spożywanie kawy może doprowadzić z czasem cały organizm do zupełnego wyniszczenia — powodując tak zwane chroniczne zatrucie — coffeinizm.

Kawa jest mniej szkodliwą od alkoholu, lecz szkodliwsza od herbaty.

TO I OWO.

Gdzie główna przyczyna idyotyzmu?

Obywatele Nowego Jorku znajdują się obecnie we wielkim niepokoju. Komisya, składająca się ze słynnych lekarzy, z wielką dokładnością bowiem obliczyła, że na 279 obywateli państwa Nowo-Jorskiego (w całości 9,117.279) przypada jeden idyota (głupkowaty). Dla tego postanowiono skutecznie do walki z tym objawem smutnym wystąpić. Wielu lekarzy, a między nimi słynny lekarz, który obecnie 14 000 pacyentów — idyotów leczy, Dr. Gregory, pisze co następuje: »My lekarze możemy pojedynczo i połączeni niektóre środki zaradcze przeciw owemu złemu objawowi zarządzić i gdy się choroba ukaże, możemy w naszych klinikach ją leczyć Lecz najważniejszą pomoc zapobiegawczą może udzielić jedynie samo państwo przez zmniejszenie wyszynków trunków alkoholicznych: Alkoholizm bowiem jest jedną z głównych przyczyn waryacyi. Z alkoholików rekrutują się waryaci, epileptycy, idyoci i umysłowo słabi.

O tem się wie — a jednak znajduje się w Nowym Jorku prawie na każdym rogu ulicy wyszynk »alkoholu«.

Na ogólną liczbę 8.135 szynków, tylko 4 prc. wyszynków, nie sprzedawały trunków alkoholowych. W r. 1908 powiększyła się liczba bezalkoholowych wyszynków o 581, podczas gdy w roku 1907 wzrosła o 484. Najwięcej takowych jest po miastach. Stosunek ich do liczby mieszkańców jest następujący: W roku 1907 — 1 szynk na 4.832 mieszkańców. W roku 1908 — 1. szynk na 4.674 mieszkańców. Jak widzimy i pod tym względem coraz lepiej: lecz jeszcze dużo na polu »reformy szynków» pozostaje do pracy.

Główny motor człowieka.

Wiadomo, że serce ludzkie uderza żywiej za najmniejszem wzruszeniem. Ale nie każdy wie, jaką siłę przedstawia każde z tych uderzeń. Traktując rzecz praktycznie, należy uważać serce za małą pompę o 15 cm. długości, 10 cm. szerokości, która funkcyonuje 70 razy na minutę, 4.200 razy na godzinę, 100 tysięcy na dzień, 36,792.000 razy na rok, a 2 miliardy, 575 milionów i 400 tysięcy razy w ciągu 70 lat.

Za każdem uderzeniem serca wchodzi w obrót 100 gramów krwi, 7 litrów na minutę, 420 litrów na godzinę, a 10 tonnel (tonnela = 1000 klgr.) na dzień. Wszystka krew, której jest w ciele ludzkiem 25 litrów, przepływa przez serce co 2 do 3 minuty. A zatem ten mały motor posiada siłę, zdolną w ciągu jednego dnia dźwignąć 46 tysięcy klgr. na wysokość 1 metra.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.